



Mirosław Derecki

PISANIE DLA PANI EMILII

Była pani kiedyś piękną kobietą, pani Emilio. Zwróciłem na to uwagę od razu, gdy tylko przekroczyłem próg domu, choć przecież przybywałem tutaj w zupełnie innym celu niż kontemplowanie pani dawnej urody. Więcej: twarz o szlachetnych rysach, chociaż przywiedła i poorana zmarszczkami, oczy wyraziste, wielkie, z których wзираł nie wygaszony z wiekiem temperament, sprawiły, że zawahałem się, że odebrałem jakiś wewnętrzny impuls, który przestrzegał mnie przed wprowadzeniem w czyn zamierzenia, z jakim przyszedłem. Niestety już po chwili zawiodła mnie intuicja, zacząłem brnąć coraz głębiej w schemat, a gdy zorientowałem się, że jednak złą obrałem drogę - było za późno.

Dlatego to moje pisanie jest tylko próbą zanotowania tego, co wyniosłem z naszego spotkania: wiadomości i doznań fragmentarycznych wprawdzie, a jednak dla mnie bardzo istotnych. Chciałbym podkreślić zaraz na wstępie: pani „zawodowe” praktyki budzą we mnie, jak w każdym nowocześnie myślącym człowieku, uczucie zdecydowanego protestu. Dziwne, że właśnie pani, po tylu życiowych doświadczeniach... Ale poprzestańmy na tym. Sądzę, że dyskusja na ten temat żadnego z nas by nie przekonała. Trudno. Istnieje wszakże możliwość porozumienia się z panią na zupełnie innej płaszczyźnie. Więc przechodzę do istoty rzeczy: jaka szkoda, że pani bogate życie, że pani osobowość mogłem poznać tylko wyrywkowo, wyrażę się ściślej - podglądnać, bo przecież sam sprowadziłem się do roli podglądacza. Mogłem już potem w naszej rozmowie zdać się wyłącznie na panią.

O pani istnieniu dowiedziałem się przypadkowo. Zdarzyło się, że na którymś kilometrze podróży służbowej - jakże to określenie formalizuje i odbarwia treść reporterskiego wyjazdu! - wsiadła do autobusu, którym jechałem, kobieta wiejska z dziesięcioletnią może dziewczynką. Ludzie na prowincji - a jechaliśmy przez głęboką prowincję, przez Roztocze - są skorzy do rozmów, więc już po chwili wiedziałem, że matka z córką wracają od słynnej w okolicy zielarki, której specjalnością jest leczenie nocnego przestachu u dzieci. To może być temat - pomyślałem. Wysiadłem na najbliższym przystanku. Złapałem „okazję”, jechałem z

powrotem w brudnej kabinie samochodu-wywrotki, bo autobus miałbym dopiero za półtorej godziny.

Mieszka pani w niewielkim, drewnianym domku, za wsią, która jest przedmieściem miasteczka owianego partyzancką historią i legendą, we wsi, która dzisiaj przerosła jednak ważnością miasteczko, bo właśnie tutaj, a nie tam, powstały zakłady przemysłowe i tutaj właśnie, przy stacji kolejowej, wzniesiono czteropiętrowe bloki mieszkalne z weneckimi oknami, loggiami i centralnym ogrzewaniem. Notowałem sobie to wszystko w pamięci. Już od początku idąc za schematem: stare i nowe, bloki i chałupy, „babka”-zielarka w cieniu zakładów przemysłowych. Jakże pragnąłem, aby pani dom okazał się zbutwiałą, samotną chatą pod lasem, a pani sama - staruszką mamrocącą pod nosem niezrozumiałe słowa...

Mieszka pani w pokoju, którego ściany obwieszane są makatkami, starymi fotografiami i świętymi obrazami. Jest na co popatrzeć, toteż gdy wszedłem i usiadłem, gdy popełniłem ten fatalny błąd, podając się za przybyłego po poradę brata chorej dziewczynki, a pani rozpytywała o szczegóły choroby, wzrok mój bezustannie błędził po ścianach. Mówiła pani: „Trzeba zrobić takie smarowanie: liść aloesu, kawałek kaktusa, pięć żyłek, pięć igieł, zalać to wszystko spirytusem w słoju średniej wielkości, postawić na parze, ale ostrożnie, żeby nie wybuchło...” - a ja przyglądałem się Matce Boskiej Ostrobramskiej w kącie i oleodrukowi na drzwiach, przedstawiającemu Napoleona salutującego starą gwardię. Rozmowa się trochę nie kleiła, czułem, że patrzy pani na mnie nieufnie, odbiegałem wyglądem od człowieka ze wsi, na kilometr czuć było „miastowego”, może podejrzewała pani, że mam coś wspólnego z wydziałem zdrowia, albo z sądownictwem? „Najlepiej by było - mówiła pani - jak by pan z tym poszedł do doktora, cóż, ja jestem tylko „babką”, ja mogę doradzić jedynie w najprostszych przypadkach, tak, najlepiej udać się do doktora, oni mają nauki, zastrzyki i pigułki, a ja tylko trochę znam się - tutaj wyczułem jednak nutkę dumy w pani głosie - na ziołach, co rosną w lasach i na polach...” I może bym już zaraz wyszedł, wrócił na swój szlak, gdybym nie dostrzegł nagle tej fotografii, która zasadniczo zmieniła treść naszej rozmowy a i nasze wzajemne odniesienia, choć tylko w sposób częściowy a nie - pełny, bo wszak po tym, co się stało, nie wolno już mi było się przyznać, kim jestem naprawdę.

Fotografia była duża, reprezentacyjna, w ciężkich, drewnianych, ciemnych ramach, taka do wieszania na honorowym miejscu nad małżeńskim łóżem, i choć przyblakła nieco - musiała mieć z pół wieku - to jednak wyraziście przedstawiała twarze mężczyzny i kobiety. Mężczyzna, nieco starszy od swojej towarzyszki, miał wygląd dość przeciętny, za to od twarzy kobiety nie mogłem oderwać wzroku. Była to twarz piękna, delikatna, o wielkich, czarnych, wyrazistych oczach, kształtnym nosie i pełnych uporczywych ustach. Piękno oczu podkreślały jeszcze ciemne, śmiało zarysowane łuki brwi. Była to twarz, która nosiła

znamiona kobiecej uległości, zarazem zdecydowania i bezkompromisowości. „To pani, kiedyś?” - zapytałem schludną, niewysoką, siedemdziesięcioletnią kobietę o przywidłej już nieco twarzy - siedzącą na przeciwko mnie. „To ja, pięćdziesiąt lat temu” - odpowiedziała pani z satysfakcją i z pewną nutą żalu. „To ja z mężem. Jak wróciliśmy z carskiego wojska, spod Archangielska. Rok tysiąc dziewięćset osiemnasty był. Jak dzisiaj pamiętam...”

Jakże ożywiła się pani twarz na to wspomnienie! Czas młodości i wielkiej przygody... Bo przecież po półwieczu zaciera się pamięć o okopowym błocie, zjadających ludzi wszach i polach zasłanych trupami, pozostają wspomnienia o nielicznych zdarzeniach wzniosłych, niezwykłych, które wydają się tym bardziej barwne i niezwykłe, im bardziej człowiek był młody. Pamięta pani, jak carski pułk szedł do ataku na Niemców? Z tamtej strony nieprzyjaciel kosił z kulomiotów całe szeregi rosyjskich gwardzistów, kładli się pokotem, chłop w chłopą jak dęby, wybierani najprzedniejsi przez poborowe komisje w całej świętej Rosji, ale szli mimo to jak lawina, a przodem waliła pułkowa orkiestra rżnąc we wszystkie trąby marsza za cara-batiuszkę, za Ruś, za zwycięstwo?

A zaraz za nimi szła pani i pani towarzyszki, jedyne w pułku cztery siostry miłosierdzia, które zrezygnowały z bezpiecznego kąta w przyfrontowym szpitalu, zdecydowały się dzielić wspólny los z żołnierzami z pierwszej linii. Wyciągałyście z lejów po pociskach jęczących, pokrwawionych ludzi, same jęcząc z wysiłku i płacząc ze strachu, ładowałyście ich na niskie nosze-wózki i płacząc się w swych długich sukniach, ciągnęłyście „na swoją stronę”. Musiała pani pięknie wyglądać w tym staroświeckim, śmiesznym dzisiaj, długim welonie siostry miłosierdzia z czasów pierwszej wojny światowej, welonie zakrywającym pół twarzy - z niewielkim czerwonym krzyżykiem nad czołem - bardziej upodabniającym was do sióstr pędzących spokojny żywot w klasztornej zaciszu. Gdy pochylała się pani nad leżącymi w malignie żołdatami, gdy spoglądała pani na nich swoimi oczami, może - gdy na moment odzyskali przytomność - wydawało im się, że oto zstąpił po nich anioł z niebiosów, wszak często szeptał do pani, polskiej dziewczyny z Nowogródka, „siostrzyczko, anioł ty mój, pomogi nieszczęstnemu”.

Ci, którzy przeżyli piekło szturmów, darzyli was uwielbieniem i szacunkiem, w chwili wytchnienia, moknąc w okopach, ułożyli piosenkę sławiącą wasze męstwo i poświęcenie. Jeszcze dzisiaj pamięta pani doskonale jej słowa i melodię, a gdy trochę drżącym głosem śpiewała ją pani siedząc przy stole w zacisznej wiejskiej, lubelskiej chacie, stanął mi wyraziście przed oczyma obraz Frontu Północnego sprzed pięćdziesięciu lat:

„Charaszo tiebie na woli, słuszat' łaskawe słowa
Posidiełby ty w okopach i spitałby to, czto ja.
Kak pałuczisz prikazanie iz okopów wystupa'

Czut' tylko gołowu pokażesz, puli kak dožd' żużżat.

A siestricy, kak lisicy idut w pierod i w pierod”.

Z czasem - powiada pani - zdaliście sobie sprawę za co chciano abyście walczyli, zrozumieliście czym jest carat naprawdę i co się kryje za dźwiękiem mosiężnych trąb. Więc śpiewaliście w okopach inne pieśni, rewolucyjne, orkiestra pułkowa uczyła się grać melodie do nowych, innych słów, zakładaliście Rady Delegatów Żołnierskich i to była znowu inna romantyka. Ale świat szedł zarazem ku nowemu, ku współczesnemu, a ludzie z wiekiem wracają często z sentymentem do spraw i zdarzeń najdawniejszych i bywa, że właśnie one szczególnie się sublimują w ich pamięci. Więc wcale, się nie dziwię, że z największym pietyzmem przechowuje pani jeszcze jedną fotografię, niewielką, przyfrontową, na której stoi pani w swym białym stroju, w otoczeniu wąsatych mężczyzn w sztywnych, okrągłych czapkach, wysokich butach i wciętych mundurach. Wszyscy oni już dawno nie żyją..

Proszę wziąć pod uwagę, jak bardzo zmieniają się kryteria oceny pewnych faktów także w zależności od upływu czasu. Wspomnienie drugiej wojny światowej wyzwoiliło w pani zupełnie inne spojrzenie na wypadki, w które została pani zamieszana. Inna sprawa, że wówczas patrzyła pani na nie już oczyma kobiety czterdziestoletniej, która urodziła i wychowała czterech synów, czynnie zaangażowanych w walkę z okupantem. Okupację wspomina pani jako czas ponurego koszmaru, codziennych zbrodni Niemców na cywilnej ludności. Trzeba przyznać, że okolica, w której przyszło pani mieszkać, w której mieszka pani do dzisiaj, była szczególnie często i ciężko doświadczana przez hitlerowców. Tutaj też wyjątkowo rozwinięty był ruch oporu. Czterej synowie działali w partyzantce. Przez pani dom przewinęli się członkowie wszystkich partyzanckich ugrupowań. Od Miszki-Tatara - jeszcze w 1942 r. - począwszy, a skończywszy na oddziałach Armii Ludowej, która witała wkraczające na te tereny wojska radzieckie w roku 1944. Pojawili się w sposób już pani dawno znajomy: tuż za pierwszą szpicą jechała ciężarówka, a na niej dwóch harmonistów i trzech trębaczy wycinało marszową melodię.

Ale wróćmy jeszcze do okresu okupacji. Nie zaliczała się już pani wtedy do dziewczyn, była w stosunku do innych bardziej doświadczona o całą pierwszą wojnę światową, o rewolucję, o trudny polski okres międzywojenny. Nauczyła się pani przezorności, umiała pani w błąd wprowadzić przeciwnika. Tego zresztą nauczyła się pani już tam, na polach pod Archangielskiem, tylko że teraz nie chce pani o tym pamiętać. Stanowczo przedkłada pani nad to obrazek carskiego pułku idącego do ataku. Jak już napisałem wcześniej, mogę to zrozumieć. Otóż pewnego dnia miasteczko, na którego przedpolu pani mieszka, zostało otoczone przez Niemców. Ludność wyciągano z mieszkań, ze spędzonego na rynek tłumu wybierano mężczyzn i rozstrzeliwano na oczach rodzin. Miała tam pani znajomego księdza -

szukował mu się podobny los, jak innym. Ale pani знаła dojścia wązozami i krzakami na tyły plebanii, miejsca, gdzie ze względu na niedostępność terenu niemiecki kordon był rzadszy. A więc przebiera się pani w jakieś łachmany, mierzwi włosy, rozmazuje na twarzy ziemię, w ciągu kilku minut zamienia się z dorodnej, młodej jeszcze kobiety, w staruszkę-zebraczkę. To na wypadek, żeby nie poznał pani nikt ze znajomych, gdy będzie pani prowadziła księdza do kryjówki. Zdaje sobie pani sprawa, że nawet wśród starych znajomych potrafi się znaleźć donosiciel.

„Akcja” udaję się. Ocalony z pogromu ksiądz przez kilkanaście dni ukrywa się w piwnicy pani domu. Naraża pani siebie i całą rodzinę na śmierć, dla obcego człowieka. Teraz opowiada pani o tym zdarzeniu mniej barwnie i nie z taką pasją, jak o sławnych frontowych czasach. Może ta sprawa musi się odleżeć? Nabrać odpowiedniej patyny czasu? Może o tym wydarzeniu będzie z największym przejęciem opowiadał dziennikarzowi dopiero pani syn? Alba wnuk?

Z synem, z Heńkiem, poszliśmy na piwo do wiejskiego baru. Zanim to nastąpiło, on także wyciągnął z szuflady „swój” album. Ze zdjęciami z partyzantki. Tutaj: on z bratem jadą furmanką na słynną akcję, co to wszyscy wiedzą, rzecz znana, nie ma co opowiadać. A tutaj stoi kolega, Adaś, a to białe pod jego nogami, to spadochron - przyjmowali jak raz zrzuty. A ten niski, w kaszkiecie, to Bronek, kolega brata z partyzantki, fajny był chłopak, zginął pod Osuchami. Tu matka, siedzi przy maszynie do szycia, ale pierwszy plan, czyli matka, nieważny, trzeba dobrze spojrzeć w róg zdjęcia, tam pod oknem stoi Wiesiek, razem zakopywali amunicję za stodołą.

Wiem, proszę pani, że Heniek pracuje na kolei. Jest tam przetokowym i ma swoją żonę, swój dom i swoje dzieci i że myśli kategoriami, współczesnego chłoporobotnika ze współczesnej lubelskiej wsi, a historia jest niby to zarezerwowana dla ludzi starych. Ale to tytko tak się mówi. Bo wystarczy wypić jeden i drugi kufel piwa, wystarczy wyjść z baru na rozgrzane, sierpniowe powietrze, skrócić zapyloną drogą między wiejskie zagrody, odwrócić się plecami do tych nowych zakładów koło toru i nowych bloków mieszkalnych, a historia ciągnie się za człowiekiem. Historia, czy też młodzieńcze wspomnienia zaczynające się już sublimować w piękne obrazki z przeszłości, a może i jedno i drugie razem?

Tak więc szliśmy z Heńkiem przez wieś, trochę już piwem nabuzowani i pokazywał, mi on miejsca, gdzie walczył, gdzie Niemców podchodził i gdzie który zabity leżał. Ale nie warto się nad tym rozwodzić - mówił - stare dzieje i do czego komu potrzebne? A jednak wraca Heniek do tych dziejów przy każdej okazji tak jak pani wraca do swoich wspomnień. A jeszcze przedtem, w barze, jegomość jakiś, łysawy i z niewielkim wąsikiem pod nosem i spocony już porządnie od piwa, wziął mnie nagle w ramiona, bo mu kumpla z partyzanckich

czasów przypominałem i wierzyć nie chciałem, że ja to ja a nie Bolek, i że mam dwadzieścia lat mniej niż on, i że tak dawno minęły stare chwalebne czasy. Tak, na tych terenach dyskutuje się na co dzień o zarobkach i kantach w przedsiębiorstwie, o polityce i sztucznych nawozach, ale każdy człowiek powyżej określonego wieku ma w zakamarkach swojej pamięci wspomnienia, od których się już nigdy nie wyzwoli. Bo młodzi są już inni - powiadacie pani i Heniek. Tak jest, to prawda. Siedział jeszcze z nami w barze Zbyszek. Elektryk miejscowy. Dwudziestolatek. On zna już na szczęście, wszystkie dotychczasowe wojny tylko z opowiadań. Jego to już dotyczy tylko częściowo. Tak, on jest już inny i to jego szczęście.

Jeszcze raz danym mi było panią oglądać po tym, jak już się z panią pożegnałem. Zobaczyła nas pani na zakręcie drogi, jak lekko balansując na nogach toczyliśmy się do baru. Nie padło ani jedno słowo, ale kiedy poczuliśmy na sobie pani wzrok, potulnie podaliśmy sobie ręce i pomaszrowaliśmy - ja na przystanek, a Heniek do domu. Wspomnienia wspomnieniami, a pani, pani Emilio, jest jednak kobietą z charakterem!

Jechałem potem autobusem przez Szopowe, Górniki i Malewsczyznę, przez Krasnobród, Nową Wieś i Suchowolę, przez wsie i miasteczka trochę zagubionego na mapie Lubelszczyzny Roztocza. Regionu, gdzie tak zdecydowanie wczoraj splata się z dniem dzisiejszym. Skąd nawet do Zamościa i Tomaszowa Lubelskiego bardzo daleko. Gdzie na progu „sodówek” stoją zadumane nad przeszłością czterdziestoletnie kobiety, a ich synowie i córki paradują mimo z tranzystorami, z których dobiegają utwory angielskiego zespołu, który nosi dziwną nazwę – „Krew, pot i łzy”.

Pierwodruk: „Kamena”, 1970, nr 19, s. 6.